

Łukasz Maślanka: Niezbędnik grzesznika

Julien Green z pewnością nie należy do moralistów pruderyjnych



Julien Green z pewnością nie należy do moralistów pruderyjnych

W plejadzie gwiazd literatury francuskiej XX wieku poczesne miejsce zajmowali zawsze pisarze katolicy. François Mauriac, Georges Bernanos i Jacques Maritain to z pewnością najślynniejsi z nich. Moją największą sympatię budził zawsze jednak nietypowy przedstawiciel tego nurtu - Julien Green. Wywodzący się z zamieszkałej w Paryżu

rodziny amerykańskiej, Green napisał sporą część swoich powieści w języku francuskim, którym władał równie swobodnie jak angielskim. Wychowany w duchu protestanckim wcześniej nawrócił się na katolicyzm. Uczestniczył w I i II wojnie światowej. Wspomnienia trudnego dzieciństwa i homoseksualizm zaciążyły na tej bogatej twórczości, której stałym motywem był problem konfliktu sumienia pomiędzy pragnieniami ciała i wymaganiami wiary.

Szczególnie warta wspomnienia wydaje się tutaj wydana w 1960 roku powieść „Każdy w swojej nocy” (*Chaque homme dans sa nuit*). Warta wspomnienia nie tylko ze względu na swoje walory literackie, ale także specyficzne uwarunkowania moralne naszych czasów. Przestaliśmy już żyć w epoce, gdy rozwiązłość seksualna była ekscesem dopuszczalnym jedynie w ściśle określonych środowiskach, a poza nimi skrzętnie ukrywana. Dziś można być rozwiązłym i jednocześnie pozbawionym hipokryzji – wystarczy dołączyć do obozu tych, dla których problem konfliktu sumienia pomiędzy seksualnością a etyką wiary nie istnieje z braku (lub głębokiej transformacji) tej ostatniej. Można również wykazywać się postawą niezłomnego sprzeciwu i nadludzkiej nieubłagalności wobec tych obyczajowych przemian – zamknąć się getcie religijnego integryzmu, purytanizmu i „zdrowej, konserwatywnej normy”, tym łatwiejszej do zachowania, że sytuacja życiowa tak konserwatywnej jednostki nie przeszkadza szczęśliwemu życiu zgodnemu z tą mieszczańską i religijną normą przyzwoitości.

Powieść Greena nie jest adresowana do żadnej z tych dwóch grup. Katolicyzm, który reprezentuje ten pisarz jest katolicyzmem cierpienia, życia w rozdzieleniu, a przez to katolicyzmem nadziei. Wilfred, dwudziestoczteroletni mężczyzna i główny bohater książki, to człowiek głębokiej wiary, którego nadpobudliwa natura zmusza do życia wbrew jej regułom. Podobnie jak sam autor, wywodzi się on z rodziny przeważnie protestanckiej, ale akurat z niewielkiego jej odłamu, który przeszedł na katolicyzm. Ostracyzm konfesyjny potęgowany jest ostracyzmem społecznym, wynikającym z faktu katastrofy ekonomicznej ojca Wilfreda, która przeszkodziła mu wysłać syna na studia, przez co ten podejmuje nisko opłacaną pracę w sklepie odzieżowym. Ciężko byłoby mu wytrzymać rutynę sześciu dni pracy gdyby nie pocieszenie, jakie dają noce pełne rozkoszy w ramionach przypadkowych partnerek. Stała choć niestabilna praca, przypadkowy seks – życiowy pejzaż chłopca uzupełnia jeszcze niedzielna Msza Św., na którą chodzi uparcie, unikając jednocześnie przyjmowania Komunii.

Green z pewnością nie należy do moralistów pruderyjnych. Nie jest to jednak bezceremonialność znana nam z wypowiedzi niektórych polskich publicystów katolickich, którzy z wyżyn sakramentalnie uregulowanej sytuacji życiowej starają się zastraszyć popędliwy lud wizją straszliwych konsekwencji płciowego nieumiarkowania (rakotwórczość seksu oralnego, psychodeliczne efekty masturbacji itd.). O tego typu podejściu wspomina również autor „Każdego...”, ale raczej w negatywnym kontekście opisu mentalności protestanckich purytanów, których brak uznania istnienia „katolickiego” czyśćca prowadzi do bezlitosnej alternatywy – rygoryzm albo potępienie. Z

drugiej strony nie ma tutaj miejsca na jakikolwiek permissywizm – rozwiązłość jasno Green nazywa złem, ale złem nam bardzo bliskim, tkwiącym w każdym, na co zresztą wskazuje tytuł powieści.

Zagmatwany w swojej prostocie krajobraz życia Wilfreda Ingrama komplikuje się dodatkowo po zgonie jego wuja. Wyprawa na wieś w celu ostatniego pożegnania krewnego owocuje znajomościami, które dodatkowo zadręczą jego biedne sumienie. Homoseksualne uczucie pięknego i bogatego kuzyna, miłość do młodej małżonki purytańskiego fanatyka, pobożna bakchiczność tajemniczego Słowianina poznanego w polskim kościele – to tylko niektóre z barwnych postaci szkicowanych przez amerykańsko-francuskiego autora z wielkim talentem. Bohaterowie, intryga, tło – wszystko skupia się wokół dramatycznego konfliktu, który Green był uprzejmy opisać z empatią, ale za to bez sztampy i bez skandalizującego epatowania.

Choć moralizatorska, powieść Greena nie daje łatwych rozwiązań. Nie obiecuje doczesnego szczęścia w wyniku pokornego pogodzenia się z wymaganiami wiary. Jest w tym sensie brutalna, ale wolę tę brutalność niż bezcelowe podsuwanie dobrych rad („nawróć się”, „idź do kościoła”, „zerwij ze złymi przywiązaniami”), których tym łatwiej udzielać, im bardziej abstrakcyjna wydaje nam się sytuacja życiowa konkretnego grzesznika.

Gdyby miała w naszym kraju wybuchnąć po raz kolejny awantura wokół zestawu lektur dla licealistów, byłbym gorącym zwolennikiem dodania właśnie tej pozycji. Coraz chłodniej nastawieni do religii młodzi ludzie mieliby tutaj szanse napotkania w literaturze swoich własnych życiowych dylematów (a o to chyba chodzi w tej gałęzi twórczości) i jednocześnie zakosztowania humanistycznego piękna, jakie niesie za sobą cierpienie wynikające z konfliktu sumienia. Dominująca we współczesnym świecie kultura ma tendencję do wygaszania tego typu skrupułów. Obowiązkiem ludzi wierzących powinno być niedopuszczenie do tego, gdyż tam, gdzie pojawia się dramat sumienia, pojawia się również pragnienie absolutu.